№ 20. 15. Maja 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Rozpowszechnienie ludowej książki w Czechach.

(List do przyjaciela.) *)

Nie ma wątpliwości, że pomyślny postęp oświaty i świadomości narodowej w najszerszych warstwach ludu czeskiego zawdzięczamy w niemałej części — książce czeskiej. Pokarm ten duchowy wrócił milionom, czego pozbawiły go smutne losy wieków. Popularna książka była i jest do dziś dnia jednym z najważniejszych czynników wewnętrznego procesu narodowego odrodzenia czeskiego. Poprzednikami naszych niniejszych wspaniałych i kosztownych publikacyj czeskiej akademji umiejętności są właśnie owe, na bibule drukowane, malutkie i tanie książeczki i broszury, które wielce poważne stanowisko zajęły w historji naszego rozwoju. Kalendarzowa nasza literatura z czasów Krameriusza (1759—1808), świstki rozmaite i przedewszystkiem proste lecz ciepłe opowiadania to z dziejów czeskich, to z życia wioski czeskiej, spełniły swoje wzniosłe oświaty zadanie, tak samo dostojnie, jak najpoważniejsza literatura naukowa. Żaden człowiek rozsądny nie wstydziłby się autorstwa tych bibułowych produktów ojczystej literatury, wiosny naszego życia narodowego.

Tu cel był jasny — i rezultat odpowiedni. Bo te książki weszły pod strzechy prostego ludu, w milionach rozeszły się po całym kraju, budziły do życia, karmiły, namawiały, ogrzewały, wpływały na serce, uczucie i — rozum.

Tak — na rozum!

Mój drogi! Przejeżdżając tyle razy przez szerokie, aż do mgły się przeciągające równiny polskie i patrząc z okien wagonu lub dorożki, albo włócząc się pieszo po waszych wioskach, patrząc na słomiane strzechy poczciwego wąszego ludu, zawsze mi się roiło w głowie — o książce.

Światło, światło!

Pozwolisz więc, że uczynię zadość pobudce twej i że ci opowiem, jak u nas wzięto się do sprawy oświaty.

Dwóch było przedewszystkiem trzeba rzeczy do odpowiedniego rozszerzania czeskich książek wśród ludu. Najprzód ludzi, co umieli dobrze pisać dla ludu, co bynajmniej nie jest małą sztuką, i jakiej takiej organizacji, do której znów trzeba odpowiednich ludzi.

Co do pierwszego warunku byliśmy w tem szczęśliwem położeniu, że ogół naszych literatów, zwłaszcza w czasach pierwszego perjodu naszego odrodzenia, pochodził sam z pod słomianej strzechy. Będąc z ludem jednego i tego samego pochodzenia, zrozumieli należycie, jak i co trzeba pisać. Odczuli oni, że tendencja nie powinna się nigdzie narzucać, żeby opowiadanie musiało trafić wprost do serca i do rozumu. Dzieje ojczystego kraju, przeszpikowane tradycjonalnemi legendami, najlepiej działały na rozbudzenie ducha świadomości narodowej. Sławna przeszłość musiała przecież i ludowi pochlebiać i musiała go do pewnej przynajmniej dumy prowadzić. Nie mniej działały zręcznie pisane opowiadania z życia wiejskiego, powiastki narodowe, klechdy i t. p.

Ale lud, nauczywszy się czytać, nie szukał tylko przyjemności i zabawy, chciał on też praktycznych wskazówek, zwłaszcza z domowego i rolniczego gospodarstwa. Trzeba było opowiadać to, co lud obchodzi, jego życie i jego potrzeby, nie to, co obchodzi przedewszystkiem nas, inne warstwy.

Pierwsze i drugie zadanie spełniło piśmiennictwo czeskie w sposób, w każdym razie pocieszający. Obok książeczek idealnego pokroju wydano też nieskończenie tanie książeczki, naprzykład: o hodowli wieprzów i znaczeniu wierzby dla przemysłu koszykarskiego, który przyniósł krajowi kilka milionów guldenów dochodu. Trzeba było wydawać rozprawki o mleczarstwie i dać wskazówki, jak najlepiej wyzyskać te dary, któremi nas ziemia ojczysta obdarza.

No, pisało się i drukowało.

Lecz najlepsza książka nic nie warta, jeżeli butwieje w magazynach Towarzystw oświaty lub księgarniach. Lud nie lubił w początkach rozwoju swego chodzić do eleganckich księgarni, gdzie za oknami wystawione były publikacje z arcyuczonemi tytułami... niemieckiemi. Lubił wtedy najchętniej zawadzić o budę lub kramik jarmarczny tuż koło kościoła.

*) *Dziennik Poznański.*

Zresztą byli u nas ludzie, co sobie zrobili zadaniem życia rozpowszechniać między ludem książki czeskie. Przed laty — pamiętam dobrze — uwijała się w Pradze ciekawa postać, poniekąd prototyp szewca Bilka.

Człowiek ten, siwy i barczysty, wiecznie wędrujący i zjawiający się tylko od czasu do czasu w ulicach praskich, postanowił rozpowszechnić wśród ludu tyle książek czeskich, ile ich w Czechach w ciężkich czasach narodu spalił na stosie zacięty wróg „kacerskiej literatury czeskiej“ Antoni Koniasz (1691 — 1760), to jest, jak tradycja opowiada, 60.000. Kupował on i nabywał w Pradze najrozmaitsze książki czeskie, gdzie mu tylko co w ręce wpadło; obładowawszy się w taki sposób zawsze nowemi zapasami, ruszał potem na prowincję. Za bezcen rozsprzedawał w Pradze nabyte książki nieraz w najodleglejszych wioskach i jak to wszystko rozprzedał, znów wracał do Pragi, zawsze powtarzając to samo. Był chętnie widziany w wioskach, bo z nowemi pakami zawsze znowu do nich wracał.

I taki człowiek, nieznany dziś nawet z nazwiska, spełnił pewne posłannictwo.

Rozumie się że niebył on jeden i sam. Ileż to ludzi dobrej chęci bawiło się u nas zakładaniem biblioteczek dla potrzeb wiejskich i rozsyłaniem czeskich książek na wszystkie strony... aż za ocean dla czeskich kolonistów w prerjach amerykańskich! Mnóstwo towarzystw czeskich zwłaszcza „Besedy“, pozakładały biblioteczki nietylko dla siebie, lecz i dla innych. Ileż to pak czeskich książek, zebranych prywatnie i dobrowolnie, wyekspedjowano z Pragi do odległych wiosek! Olbrzymia musiałaby to być statystyka, ale trudno ją zestawić, gdyż bardzo, bardzo często nie wiedziała lewica, co robiła prawica... Wszak już w szkołach mieliśmy kolektury książek na rozesłanie do wiosek?...

Nie ma co mówić, była i energia i wytrwałość!

Pomyślne rozpowszechnienie ludowych książek zawisłe jest także od ich taniości. Poznali się na tem Czesi wcześnie i starali się temu zaradzić. Pokazywano mi w Galicji książki przeznaczone dla szerszych mas, liczące 80 stronic druku, a cena ich wynosiła 30 kr. To ani dla czeskiego wieśniaka nie byłoby tanio, przeciwnie.

W tym względzie na osobną wzmiankę zasługuje „Matica lidu“, towarzystwo zajmujące się wydawaniem ludowych wydawnictw, którego nie wypada mięszać ani z „Macierzą czeską“ (która wydaje dzieła treści przeważnie naukowej); ani z „Macierzą szkolną“, o której pisałem w liście „O podatkach narodowych w Czechach“.

„Maticę lidu“ założono 1867 r. w celu „wydawania popularnych i tanich dzieł dla duchowego ukształcenia ludu czeskiego“. Sam komitet wybrany z ludzi zdolnych z góry wróżył moralne powodzenie przedsięwzięcia, które nadzwyczaj szybko się rozwijało. Żeby wiadomość o nowej Maticy w całym kraju rozpowszechnić, rozesłał komitet gorąco napisane odezwy w 60.000 egzemplarzy, jako dodatki do gazet, wysłano je też dla rozdawania powiatowym komitetom i licznym prywatnym osobom, które się bezinteresownie ich rozszerzaniem zajęły. Rezultat takiego starannego działania był bardzo znaczny. W odezwie oświadczono, że „Matica lidu“ dąży jedynie do rozpowszechnienia oświaty, stanowiącej kapitał narodowego bytu, że przedsięwzięcie to nie ma żadnego związku z jakimkolwiek handlowym interesem. Statut opiewał: „Członkiem „Maticy lidu“ jest, kto na rok zapłaci jeden gulden i każdy taki członek otrzyma w ciągu roku najmniej sześć dobrych i użytecznych książek czeskich“.

Jak wielkiem było uczestnictwo czeskiego ludu w nowej Maticy, dowodzi to, iż zaraz pierwszego roku liczba członków wynosiła 10,338! Jeszcze przed wyjściem pierwszej książki z pod prasy drukarskiej zgłosiło się 3803 członków. Ponieważ wydano zaraz na pierwszy rok w terminach dwumiesięcznych 6 książek, rozszerzono takim sposobem pomiędzy ludem w tym jednym roku nie mniej jak przeszło 62,000 dobrych, wpływ korzystny wywierający książek! A nie mało to znaczyło w kraju, który się musiał w takich stosunkach rozwijać jak czeski. Podnieść też wypada, że więcej niż dwie trzecie wszystkich członków należało od samego początku do tej klasy ludu, która zarabia na chleb dzienny ciężką pracą rąk własnych. Że liczba członków tak wielka będzie, sam komitet nie oczekiwał, gdy pierwsze wydanie książek drukowano w 6000 egzemplarzach, a kiedy tak prędko zostało wyczerpane, musiano drukować wydanie drugie (5000 egzemplarzy) i później niektórych książek wydanie trzecie.

I rzeczywiście, co mogła wspólnemi siłami „Matica ludu“ zrobić, nie mógł tego dokonać żaden prywatny przedsiębiorca. Sześć książek razem 32 arkuszy, po 32 stronic druku wybornej treści z 60 odpowiednemi illustracjami — za jeden gulden! Dziwić się więc nie wypada, że chętnie każdy do Maticy przystępował.

W drugim roku istnienia wpłynęło do kasy Maticy od członków 14,073 guldenów, w trzecim roku 37,219 guldenów itd.

Równie i w stosunku do literatów zrobiła Matica zadość swemu celowi, płacąc za jeden arkusz 60 guld. honorarjum.

Wszystkie książki przez Maticę ludu wydawane odznaczają się językiem dobrym, praktyczną treścią, wykładem popularnym, szlachetną narodową tendencją. Naturalnie, że się komitet o to przedewszystkiem starał, żeby za pomocą wydanych książek, ile można najwięcej rozszerzał dobre wiadomości o czeskiej ojczyźnie i o bratnich ludach słowiańskich. Najskuteczniej i z najlepszemi rezultatami działała „Matica ludu“ w pierwszem dziesięcioleciu swego istnienia. Później spowodowało zakładanie innych podobnych Towarzystw (n. p. „Libusza“), że liczba członków Maticy poniekąd się zmniejszyła. Ale co raz zrobiono, odniosło korzyść niezaprzeczoną i znaczną. Nie zgrzeszymy zapewne, jeżeli powiemy, że dzieła Maticy mogły i mogą służyć za wzór, czego

najlepiej dowodzi, że niektóre z nich były przetłumaczone na obce języki. W spisie dzieł, z których nie jedno liczy przeszło 300 stronic, spotykamy prace najpopularniejszych literatów i literatek czeskich. Powieści swe składali tam i Karolina Świetla i Alojzy Jirásek. Z dzieł mniej więcej pouczających, wymieniam „Obraz świata słowiańskiego“ przez prof. J. Korzinka, „Opowiadania z historji czeskiej“, E. Tonnera, „Życiorys Jan Żyżki“, Jungmanna „Jerzego Podiebradzkiego“ itd. Wyszła książka o „Szwajcarji“ z osobnem uwzględnieniem samorządu, dalej dzieła Smilesa w tłumaczeniu itd.

Nawiasem notuję, że Matica wydała prócz dzieł z wszelkich gałęzi piśmiennictwa kilka bardzo pożądanych kart jeograficznyah, mianowicie kartę Czech, Morawji i Świata słowiańskiego. Z przekładów wspominam tylko powieści Kraszewskiego.

Z hasłem „Osvietoû k svobodie“ (Oświatą do wolności) rozchodziły się więc książki Maticy lidu po całym kraju, nawet do Czechów w Ameryce wysłano ich w ciągu dziesięciu lat przeszło 40,000 egzemplarzy.

Wielka taniość, dobra treść i znaczne upowszechnienie — to są cechy, któremi się „Matica lidu“ zaszczytnie odznaczała. Spełniła swoje piękne zadanie, bo pokarm dawała, gdzie go trzeba było.

Od założenia „Macierzy ludu“ minęło ćwierć wieku. Nie została ona na placu sama jedna. Z biegiem czasu przedsiębiorczość nadała książce czeskiej pole coraz szersze. Wyliczyć dziś wszystkie wydawnictwa czeskie, przeznaczone dla szerokich mas narodu — trudno.

To pewna, że dziś w Czechach ani brak książek, ludowi przystępnych, ani czytelników we wszystkich warstwach narodu. Nawet „Pan Tadeusz“ w czeskiem tłumaczeniu Krásnohorskiej dostał się już pod ciepłe „słomiane strzechy“ naszego ludu. „Osvietoû k svobodie!“

Praga czeska, 6. maja 1893.

Edward Jelinek.

Kartki naukowe.

Treść: Jaką wodę piją mieszkańcy wielkich miast. — Nowe metody w pszczelnictwie — Telautograf.

Od najdawniejszych czasów lekarze i hygieniści baczną zwracali uwagę na to, aby używano czystej wody w napojach i pokarmach. Bezwarunkowo, woda zawierająca rozkładające się substancje azotowe, jest niebezpieczną; może ona sprowadzić najgroźniejsze choroby epidemiczne, takie jak tyfus, cholera, dysenterja i wiele innych. Statystyka wykazała, iż za każdym razem gdy zaopatrzono jakie miasto w wodę dobrego gatunku, pojawianie się chorób epidemicznych stawało się rzadszem i w skutkach swych mniej groźnem.

Nie zdziwi nas przeto, iż wobec tak ważnej sprawy, mieszkańcy największych miast w Europie, i Ameryce, łożą niesłychane sumy, aby zaopatrzyć się w wodę zdrową, a nie znajdując jej w pobliżu miasta, sprowadzają wodę częstokroć z miejcowości o kilkadziesiąt wiorst odległych. W takich razach woda przybywa za pośrednictwem umiejętnie zbudowanych wodociągów podziemnych, przerzynających błota, torfowiska, rzeki, góry, doliny, lasy i koleje żelazne.

Tej pieczołowitości o dobroć wody, mamy świeży przykład w Paryżu. Stolica nadsekwańska otrzymywała dotychczas wodę z dwóch odległych rzek źródlanych: Vanne i Dhuis, dostarczających wody w wysokim stopniu klarownej, zdrowej i chłodnej; temperatura wody tej w zimie wynosi 9°, zaś w lecie 11°. Woda ta jest lekko wapienna, smaczna, i mało sprzyjająca rozwojowi bakteryj. Rozchodzi się ona po wszystkich dzielnicach i dochodzi do każdego piętra, dzięki właściwemu ciśnieniu. Główną atoli wadą paryskiego urządzenia, była niewystarczająca ilość wody źródlanej w lecie i wówczas napełniano wodociągi wodą z Sekwany; zamiana ta, stale zwiększała śmiertelność między ludnością.

Obecnie powyższa niedogodność została już usuniętą, albowiem od Kwietnia rb. przybyła do miasta woda rzeki Avry, ujęta w kanały przy granicy Normandji, tak, iż na każdego mieszkańca przypada teraz dziennie po 100 litrów wody źródlanej, przydatnej do napojów i pokarmów oraz potrzeb toaletowych. Ponieważ hygieniści obliczają, iż na każdego mieszkańca powinno przypadać po 250 litrów wody do codziennego użytku, przeto brakujących 150 litrów dziennie, dostarcza Sekwana.

Zobaczmy teraz, jaką wodę piją mieszkańcy innych stolic europejskich.

Według najświeższego sprawozdania, równie dobrą i świeżą wodę jak Paryż, posiada w Europie tylko Wiedeń. Od 1873 roku stolicę Austrji zaopatrują w zdrową i smaczną wodę źródła alpejskie. Szkoda tylko, że ilość tej wody bywa zmienną, zależną od topniejących śniegów, tak, iż co roku braknie wody w zimie i wówczas zastępuje ją woda z Dunaju. Zamiana ta oczywiście odbywa się zwykle kosztem zdrowia mieszkańców i wywołuje najczęściej zwiększenie gorączki tyfusowej.

W Londynie ośm kompanij dostarczają miastu po 120 litrów wody dziennie na każdego mieszkańca. Woda pochodzi z Tamizy, czerpaną jest w jej górnym biegu, w miejscu o 30 kilometrów odległem od środka miasta. Wodę oczyszczają za pośrednictwem filtrów, skład jej bakterjologiczny jest takiż, jak skład wody sekwańskiej przed wejściem do Paryża a dostarczanie drogo kosztuje i w dodatku ilość nie jest wystarczającą. To też mieszkańcy Londynu nie są zadowoleni z tych warunków, tembardziej, że woda z Tamizy poczytywaną jest za ognisko gorączki tyfusowej.

W Berlinie piją wodę ze Sprei. Fabryka czerpie mętną wodę rzeki i filtruje ją przez piasek. Na każdego mieszkańca przypada po 75 litrów dziennie tej wody, wątpliwej wartości, gdyż Sprea nie jest

zabezpieczoną od zewnętrznego zanieczyszczenia i ponieważ filtry nie zatrzymują całkowicie bakteryj.

Liverpool dopiero od 1892 roku posiada podostatkiem zdrowej wody do picia; urządzenie wodociągów jest tu niezmiernie ciekawe, sztuka inżynierska stworzyła istne arcydzieło w Liverpolu. Niezbędnej dla miasta ilości wody dziennej 59 milionów litrów dostarcza jezioro Vyrnvy, odległe na 68 kilometrów od Liverpoola.

Jezioro to, mające 9 kilometrów długości i 800 metrów szerokości, zostało sztucznie stworzone i napełnione wodą, pochodzącą ze źródeł rzeki Sewerny. Następnie sprowadzono wodę z jeziora do Liverpoola za pomocą nader skomplikowanego systemu rezerwoarów i wodociągu, mającego 116 kilometrów; jest to najdłuższy wodociąg na całym świecie. Nic dziwnego, iż prace te trwały przez 10 lat.

W Ameryce dwa miasta mogą pochwalić się taką obfitością wody, jak żadne miasto europejskie; Nowy Jork i Chicago, mają po 300 litrów wody dziennie na każdego mieszkańca, a ilość ta w Nowym Jorku ma być zwiększoną do 500 litrów. Do Chicago sprowadzają wodę z odległych punktów jeziora Michiganu, a w Nowym Jorku woda pochodzi ze sztucznego jeziora, utworzonego w dolinie rzeki Kroton, wpadającej do Hudsonu. Wszelako czystość tej wody bywa coraz więcej zagrożoną, gdyż na wybrzeżach Krotonu powstają coraz nowe osady i fabryki.

Widzimy więc, iż największe miasta nie posiadają jeszcze idealnego urządzenia pod względem dostarczania mieszkańcom hygienicznej wody; mniejsze miasta nie są bynajmniej szczęśliwsze w tym względzie; Bruksela, Buda Peszt, usiłują wciąż zwiększyć ilość dobrej wody. W Petersburgu od niedawna zdecydowano się filtrować wodę z Newy, w Warszawie wraz z zaprowadzeniem nowej kanalizacji, woda jest o wiele lepszą niż przed kilku laty. Amsterdam dołożył niesłychanych starań, aby dostarczyć mieszkańcom po 50 litrów wody dziennie.

Swieżo odbyty kongres pszczelarzy w Waszyngtonie wykazał, jak wysokiego rozwoju dosięgło pszczelnictwo w Ameryce. Stany Zjednoczone w 1892 roku wyprodukowały na 75 miljonów franków miodu i na $7^1/_2$ miljonów franków wosku. Jedna tylko farma w Texasie wyhodowała 2000 matek po cenie 10 — 25 franków za sztukę. Cyfry te, mogą się wydać za przesadzone dla tych, którzy nie znają nowych metod tego wielce zyskownego przemysłu. Dzisiejsze pszczelnictwo różni się zupełnie od pszczelnictwa, prowadzonego w początkach naszego stulecia. Przedewszystkiem zmienił się kształt dawnych uli, zamiast koszyka lub pnia, przybrał on wygląd skrzynki drewnianej, której wnętrze łatwo można oglądać. Okoliczność ta, sprzyja wielce poznaniu tajemniczych zwyczajów pszczół i umiejętnemu zaradzaniu ich potrzebom. Wykształcony fachowo pszczelarz, nie pozostawia obecnie swych uli na los szczęścia, jak się to działo dawniej, ale reguluje przemysł pszczół i rządzi nim, dlatego nie doświadcza on niespodziewanych zawodów w swych zabiegach. Ponieważ pomyślność ula zależy przedewszystkiem od płodności matki, przeto pszczelarz wybiera i zachowuje tylko te samice, które zdolne są wydać największą ilość jaj.

Pszczelarz uprzedza również wyrojenie pszczół, gdyż od liczebności mieszkańców ula, zależy głównie ilość produkowanego miodu. W jesieni zabiera jakie zapasy nagromadzone są w ulach i stara się zawczasu, aby w zimie owady nie umierały z głodu.

Lecz nie koniec na tem; nowoczesny pszczelarz umie oszczędzać czas owych pszczół, dostarczając im arkuszy wosku, spłaszczanych za pomocą maszyny; z każdej strony arkusza znajdują się już rozpoczęte komórki, tak, iż pszczoły robotnice, wydłużając takowe szybko wykończyć je mogą. Prócz tego pszczelarz starannie przechowuje plastry wosku już wykończone przez przemysł pszczół, wie on dobrze, iż pszczoła zużywa 8 — 10 kilogramów miodu, zanim wyprodukuje 1 kilogram wosku i dlatego wycisnąwszy miód z plastrów, za pomocą maszyny centrofugalnej, pszczelarz wkłada naprzód plastry do ruchomych ramek ula; przytem miód wydobyty tym sposobem, jest bardzo czysty, nie zawiera szczątków ani pyłku kwiatowego, ani czerwiów.

Już z tego pobieżnego rzutu oka na pszczelnictwo widzimy, jak ciekawem jest hodowanie pszczół przy nowych sposobach jak zyskownem stać się może to zajęcie, nawet dla osób, oddających mu się z amatorstwa. Kraj nasz, przeważnie rolniczy, mógłby niesłychanie rozszerzyć zakres swego pszczelnictwa przy pomocy tak łatwej i niekosztownej fabryki, jaką jest ul nowoczesny; wiele rodzin znalazłoby na tem polu pewne i stałe źródło utrzymania.

Na zakończenie wspomnijmy o nader ciekawym wynalazku, który ujrzał światło dzienne w Ameryce. Jakże to niedawno został wynaleziony i udoskonalony telefon, dzięki któremu dla głosu ludzkiego przestała nieledwie istnieć przestrzeń; mowa ludzka, zarówno jak spiew i muzyka przepływają przez morza, przebiegają przez kraje i miasta, nie tracąc nic prawie na swych właściwościach.

Ale to zwycięztwo nad przestrzenią nie zadowoliło fizyków nowego, ruchliwego stulecia; i zapragnęli oni, aby nietylko głos ludzki, ale i charakter jego pisma, mógł z równą szybkością przebywać przestrzenie bez zmiany i dochodzic do osoby interesowanej. Poszukiwania i próby wieloletnie zostały nareszcie uwieńczone pomyślnym skutkiem. Znakomity fizyk amerykański Eisan Gray, wynalazł przed paru miesiącami przyrząd, za pośrednictwem którego, można reprodukować pismo i rysunek na rozmaitych odległościach. Przyrząd ten nazwany został telautografem, a jeżeli okaże się istotnie praktycznym, obok linij telefonicznych, powstaną w krótce linje telautograficzne. Gdy abonent pisać będzie przy swem biurku, wierna kopja jego listu pozostawać będzie jednocześnie na biurku jego ko-

respondenta. Co więcej, jeśli osoba do której się pisze okaże się nieobecną, pióro i bez niej potrafi napisać wszystko, jak należy. Jest to więc wynalazek mający bardzo wysoką doniosłość, a praktyczni amerykanie nie pozwolą mu spoczywać w gabinecie wynalazcy, już bowiem w Nowym Jorku utworzyła się kompania dla eksploatacji telautografji i w końcu marca dokonano próby wysyłania pisma z Nowego Jorku do Chicago, a nowe przyrządy mają podobno funkcjonować podczas Wystawy w Chicago.

Dr. M. Stefanowska.

Jan Kasprowicz.

Z gawęd i opowiadań.

Maciej Kosarczyk.

(Dokończenie.)

Raz tylko jeden wydał z swego wnętrza
Głos nakształt trzasku, jak to drzewo w boru
Gdy ręka burzy, nad myśl ludzką prędsza,
Grubą mu gałąź odłamie; jak żmija,
Gdy nadepnięta, w pion swe kręgi zwija,
Skręci się wtedy i oko potworu,
Nabiegłe krwią, w powietrze, niby kołek, wbija.

* * *

„Precz z mego domu! precz! precz!“ tak na córkę
Syknie, gdy hańbę swej córki spostrzeże;
A gdy ta w płacze, porwie za rozwórkę
I, niby lekką kozicę drżąc cały,
Rzuci o ziemię, aż w drobne kawały
Sprzęt się roztrzaskał: niby jakie pierze,
Tak szczypy się dębowe wokół rozleciały.

* * *

I córka poszła z ojcowskiej zagrody
W świat wypędzona, a on znów się skulił
W swą własną skórę, jak ten jeż; do kłody
Znów był podobien i znów wgryzł się w rolę,
Jak w kawał sukna wgryzają się mole,
I ani popadł w gniew, ni się rozczulił,
I znów, jak głaz, przyjmował dolę i niedolę...

* * *

Tak aż do śmierci... Wieczór coraz cięższej
Kładł się na sioło, kiedym wszedł do chaty,
Gdzie snać już życie śmierci nie zwycięży;
Kosarczyk leżał na sosnowem łożu,
Zwiędły, jak oset, zdeptan na przydrożu,
Z parą ócz, zblakłych jak one bławaty,
Zostałe na ściernisku po sprzątniętem zbożu.

* * *

Mrok izby chłopskiej blask rozpraszał słaby
Żółtej gromnicy, a posępną ciszę
Od świecy żółtsze przerywały baby,
Za konających szepcąc modły głuche;
Czasem brzęczącą usłyszałeś muchę,
Czasem on jęknie lub ciężko zadysze,
Lub, ruszy się, zachrzęszczy pod nim słomsko suche.

* * *

„Bóg zapłać panu“! tak do mnie wyrzeknie
Kosarczykowa, ciemnej sukni końcem
Łzę ocierając, co jej rosą cieknie
Po wymarszczonym policzku; „w tej nędzy
Pan może znajdzie nam radę, bo między
Ludźmi wszystkimi, co żyli pod słońcem,
Nikt strasznie tak nie konał... może umrze prędzej...

* * *

Teraz już chwilkę tak spokojnie leży,
Nawet przez usta wyszła mu już blada
Niby chmureczka: niech kto chce, nie wierzy,
Boć wszystko mara, tylko Bóg jest wiara,
Jednak — wiadomo, Walentowa stara,
Co śmierć widziała niejedną, powiada,
Że dusza tak z człowieka wychodzi, jak para. .“

* * *

Ale zaledwie te słowa wypowie,
Chory się zerwie z posłania, kościste
Wypręży ręce i te oczy w głowie
Tak jak szerokie wytrzeszczy i stęknie,
Że pierś kosmata, zdawało się, pęknie
Z trzaskiem, jak obręcz na beczce... O Chryste!
Takiego, jak ten widok, któż się nie ulęknie!

* * *

Parska, aż ślina usta mu pokryje,
Jak gdyby „bożą wolą *) nawiedzony,
Zaciska zęby, skręca chudą szyję,
Płachtę pod sobą drze na drobne szmatki;
Jak dzikie zwierzę, zamknięte do klatki,
Tak się szamoce ze śmiercią, do żony
Przemówić chce — nie może... sił to już ostatki...

* * *

Przestrach ogarnął obecnych, wszak dreszcze
I mnie chwyciły; baby jęły modły
Za konających czytać w głos: „Tej jeszcze
Udziel mu łaski, w tem życiu jedynej,
By śmierć miał prędką, potem przebacz winy,
O panie Jezu, aby go zawiodły
Anioły twoje święte do świętej dziedziny...“

* * *

---

*) Epilepsja w języku ludowym.

I jedna w rękę gromnicę mu wciska:
Wziął, lecz w tej chwili wyrzucił ją z dłoni,
Babę odepchnął od swego łożyska,
Siadł nieruchomie i zaczął dokoła
Błądzić oczami; ściągnął brwi u czoła,
Jakby powieki skryć chciał w fałdach skroni,
I znów porusza wargą i coś szepnąć zdoła...

* * *

„Jagusi żąda, nieszczęsnej Jagusi,
Którą przed laty jeszcze wygnał z domu“ —
Tak, zalewając się łzami, wykrztusi
Kosarczykowa — „posłałam ci-ć po nią,
Lecz i najlepszym nie zdarzy się koniom,
Ażeby biegły ze szybkością gromu,
Potrzeba dnia całego, nim dotąd przygonią...

* * *

„Masz inne dzieci“ — tak się zwróci k'niemu —
„Klęczą przed tobą, przeżegnaj sieroty,
Złóż na ich głowy swą rękę, by złemu
Zastąpić drogę tą przeświętą zbroją,
Błogosławieństwem rodzica...“ Ukoją
Snać go te słowa i wyrwą z martwoty,
Bo głów łkających dzieci dotknie ręką swoją.

* * *

Lecz znów w tym samym zerwie się momencie,
Jakby go kurcze porwały... „Innego —
Rzeknę — tu nie ma ratunku; pieczęcie
Spokojnej śmierci przyłożyć tu może
Tylko Jagusia. Tak jest, mocny Boże
Abyś go zabrał do przybytku swego,
Wygnana tylko córka tutaj dopomoże“.

* * *

I tak się stało. . Jagusia o długą
Drogę od naszej biedująca wioski
Wejdzie do izby, łez oblana strugą,
I na tej smutnej poście i krawędzie,
Gdzie śmierć za chwilę z tryumfem zasiędzie,
Padnie nieomal bez zmysłów: ojcowski
Tak zmógł ją ból, że szlochań snać się nie pozbędzie.

* * *

Stary Kosarczyk poznał swoją córę:
Popatrzył naprzód, jak człowiek, co oczom
Swoim nie wierzy, potem rękę w górę
Podniósł i ciężko spuścił i bezwładnie
Na głowę dziecka; ze źrenic mu zdradnie
Dwie się po twarzy wielkie łzy zatoczą.
A głowa podniesiona w poduszki opadnie.

* * *

Jak obmacuje ślepiec grzbiet gełębia,
Aby się jego barwą rozkoszować,
Tak on swą ręką, co się już oziębia
Od tchnień śmiertelnych, szyję córki chłodzi,
Albo palcami wyschniętymi brodzi
W jej gęstych puklach: chciałby je tam schować,
Tak miękko mu w tych włosów jedwabnej powodzi.

* * *

W kątach ust zwiędłych, skrzywionych cierpieniem,
Widać to było, spoczął uśmiech błogi,
A wargi drżały· Z Jagusi imieniem
Z wnętrza ostatnia uleciała para:
To, jak powiada Walentowa stara,
Dusza z człowieka w nowe idzie drogi —
Lecz możnaż temu wierzyć? Ha! różna jest wiara...

KNIAŹ HILARKO

napisała

Zofja Grynbergowa.

(Ciąg dalszy.)

— A wy co na to panie Anczel? — mówił pretekt do żyda, który z karczmy przez okno flaszkę podawał.

— Ja na to co powiem? Ot ja powiem, że będę jeść ryby na szabas — odrzekł Anczel, pokazując na wyrostka, który zbliżał się do karczmy z siecią zarzuconą na ramieniu; był to Siembida Zieliński. Z torby płóciennej zaczął wyjmować rybki i ryby chwaląc się nimi; Anczel nalewał już wódki dla Zielińskiego.

— A to szelma! — krzyknął felfeber głośno jakby z pochwałą dla Anczla czy dla rybaka.

— Dywit dywit! — wołał Michał, który miał prawo pieczętować się korabiem (gdyby był używał pieczątki) a mówił zawsze prawie po rusku. — Dywit se szczupak! Taj ne jeden szczupak to sami szczupaczki. Oj koby to ja mołodszyj!

— Gdzieby wujko poszedł, to czy choć nie w wodę? pytał Zieliński.

— A cóż ty durniu myślisz! Piszowbym w wodu, daw nura, ta braw ich rukamy.

— Woda kałamutna duże! — wyrzekł powoli pan Hilary, stukając szczudłem. Oj zaleje, zaleje pierogi w piecu, taki praźnik.

— Niebezpieczno z rybami — rzekł Zieliński do wujka a wszyscy popatrzyli na siebie w milczeniu. Pamiętano dobrze wypadki, które miał pan Michał przez ryby.

Pan Michał w młodości bardzo był „bujny“, a ryby to umiał brać ręką, wyciągając je ze szpar w brzegach, gdzie się chowały. Dawał nura i wytrzymywał pod wodą jak nikt.

Raz też pokłócił się o ryby z drugim zuchem i ze złości jak mówiono, podpalił stodołę jego ojca. Przesiedział się zato w śledztwie; tylko nazywano go potem po cichu „Palij“.

— Ot korotka ide! weczer sia robyt — zawołał pan Hilary, który nie lubił kiedy pan Michał „dostawał błyszczące oczy“. „Korotką“ nazywano tu pociąg pospieszny; służył on im jako zegar dla oznaczenia czasu, zresztą o kolej nie dbali, produkta swoje wszelkie wywozili do miasta odległego o dwie mile, położonego w pobliżu kopalni wielkiej; w mieście tem było dużo bogatych żydów, ci płacili za wszystko jak we Lwowie.

— Korotka ide, weezer sia robyt, zdałoby się ławkę ściągnąć, taj aus! rzekł felfeber, patrząc na prefekta.

— Zdałoby się! ale ktoby tam w wodę teraz poszedł?

— Et! co taka ławka — mówi Hilary. — Pójdzie ta, to zrobi się lepsza.

— Zrobi się, zrobi się, zrobi się lepsza! To nie sztuka mówić, ale na nową ławkę trzeba pieniędzy, zakrzyknął felfeber.

— Lepsza, czy nie lepsza Anczel dawaj kwartę! rzekł na to prefekt i spór ułagodził.

Z karczmy wyszła Anczlowa z wódką, a za nią wybiegło małe kędzierzawe dziecko żydowskie; była to Ryfcia Surcina, która tu przychodziła bawić się z dziećmi Anczlowemi. Anczlowa zaczęła podawać wódkę, tymczasem Ryfcia pobiegła prosto do rzeki — do kładki, po której zawsze biegała sama, odkąd nauczyła się chodzić.

— Ot dziecko biegnie do kładki, jeszcze się utopi! wyrzekł pan Hilary.

— Niech się zdrowe topi — zamruczał felfeber.

Lecz pan Hilary ruszył się już z ławki, na której siedział.

— Taż to Surcine dziecko. Hej ty klajnyczka Ryfcie kim eran! wpadniesz do wody.

Tymczasem Ryfcia widząc, że pan Hilary za nią idzie, jeszcze prędzej puściła się przed siebie, biegła aż jej pięty bose migały; już dopadła kładki i puściła się naprzód. Pan Hilary na szczudle nie mógł pospieszyć, krzyknął tylko na brzeg przeciwległy do karczemki, co stała nad urwiskiem.

— Hej Surka hej! Hej, hej!

Głosu jego nie dosłyszał nikt z tamtej strony, lecz Surka zobaczywszy przez okno, co się dzieje, rzuciła dziecko, które miała na ręku do kołyski i wyleciała z karczmy.

— Gewałt Ryfcie! krzyknęła i puściła się naprzeciw z otwartymi rękami.

Ryfcia stanęła na chwilę, zachwiała się razem z kładką, rozległ się cienki głos, którego nikt nie słyszał, tylko Surcia matka i w sekundzie jednej kładka obróciła się na mętnej zburzonej fali i razem z dzieckiem popłynęła prądem porwana.

Surka rzuciła się naprzód z brzegu i już staczała się po urwisku, gdy ją pochwycono z tyłu.

— Czy to pływać umie żydowczysko, czy co! krzyknął ktoś za nią i trzymał, ciągnąc do góry Surkę, która zemdlała. W tej chwili nad brzegiem zjawił się w bundzie swojej, w czapce na oczy nasuniętej stary Hilarko. Nie słyszał, jak z przeciwległego brzegu wołał ktoś: Hilarko, głupi Hilarko! Nie gub swojej duszy chrześcijańskiej! on rozpasawszy bundę rzucił ją wraz z czapką na ziemię, a ponieważ był bosy i koszuli nie miał na sobie, gotów był do pływania. Pobiegł kawałek jeszcze i skoczył w nurty Bystrzycy, tam, gdzie kłębiła się kędzierzawa głowa i rączki małej Ryfki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Obrazki ze świata alpejskiego.

Kreślił
Dr. Jasiński.

(Ciąg dalszy.)

Aflenz. Seewiesen.

Poeci nazywają Styrję zieloną. Jest ona nią rzeczywiście, albowiem wszędzie, gdziekolwiek tam spojrzymy, widzimy zielone łąki i takież lasy. Jest to zaś zieloność świeża, soczysta i mieniąca się w liczne tony barwne. Wśród takiej zieleni leży Aflenz. Jest to miasteczko małe, bo liczy zaledwie 70 domów, ale posiada takie zalety, które mu nadają znaczenia uzdrojowiska klimatycznego. Pierwszą z tych zalet jest klimat tameczny. Aflenz bowiem leży w wysokości 850 metrów, a skutkiem tego oddechamy tam już powietrzem podalpejskiem.

Takie powietrze powinno atoli posiadać jeszcze drugą własność niezbędną, t. j. powinno być wolnem od kurzu i pyłu. Otóż własność tę posiada powietrze w Aflenz i zawdzięcza ją położeniu tego miasteczka. Leży ono bowiem u stóp wysokiej góry, należącej do systemu Hochschwab. Rzeczona góra jest pokryta pięknym lasem cienistym. Las ten, do którego dostajemy się wygodną ścieżką w kilku minutach, jest poprzerzynany licznemi ścieżkami. W tym lesie tedy oddechamy powietrzem zupełnie czystem, orzeźwiającem nawet w czasie upałów letnich. Także w czasie deszczu możemy po tym lesie przechadzać się swobodnie, gdyż konary drzew tworzą nad ścieżkami rodzaj sklepienia. Ścieżki te są zaopatrzone napisami, wymieniającymi owe sielankowe ustronia, do których ścieżki prowadzą. Nadto są tam wszędzie wygodne kanapki do wypoczynku, a w miejscach do tego stosownych także stoliki przed kanapkami. Urządzenia te są dziełem istniejącego w Aflenz Stowarzyszenia ku upiększeniu miasta.

Rzeczonemi ścieżkami dostajemy się bez znużenia w przeciągu niespełna pół godziny na wysokość 300 metrów, a usiadłszy tamże na jednej z kanapek, odbywamy kurację klimatyczną, bo oddechamy powietrzem już alpejskiem. Równocześnie zachwycamy się widokiem prześlicznych krajobrazów, otaczających nas w półkole. Jeżeli mamy ochotę, idziemy jeszcze wyżej i dostajemy się na górę kilka tysięcy stóp wysoką. Przechadzkę tę odbywamy bez wszelkiej obawy, gdyż spotykamy co chwila turystów i letników.

Kuchnia i pomieszkania są w Aflenz wcale nie złe, życie zaś jest tanie i tak swobodne, jak na wsi. To też w porze letniej jest Aflenz zwykle tak przepełniony letnikami, iż bardzo często nawet pokoju dostać nie można. Najwięcej letników dostarcza Wiedeń i Grac.

Na zachód od Aflenz, w oddaleniu o jedną stację pocztową, leży w wysokości 968 metrów Seewiesen. Miejscowość ta, składająca się z kościółka,

z dwóch domów gościnnych, z poczty i kilku domów wiejskich, ma położenie przecudne. Oprócz gór zalesionych widzimy tam także całkiem nagie góry skaliste i jak gdyby poorane głębokimi parowami. Panorama, jaką te góry wraz z leżącemi pomiędzy niemi dolinami tworzą, przedstawia się najpiękniej z cmentarza tamecznego, zwłaszcza ku zachodowi słońca. Jeszcze wspanialszy widok jednak mamy z góry Seeberg, leżącej tuż za Seewiesen. Z przełęczy tej góry, mającej wysokość 1254 metrów, obejmujemy wzrokiem równocześnie i dzikoromantyczną dolinę Seethal, okoloną górami nazwy Schwabenkette, i tak zwaną Mitteralpe, i smętną dolinę Dullwitz, i górę Hochschwab, przedstawiającą się w gigantycznych kształtach na sinawem tle horyzontu.

Między Aflenz a Seewiesen leży oprócz innych miejscowości także Turnau. Życie w tej miłej wiosce jest jeszcze tańsze, niż w Aflenz. To też bawi tam co lata pewna liczba gości, zwłaszcza takich, którzy w Aflenz umieszczenia znaleść nie mogą.

Miejscowości Thörl, Aflenz, Seewiesen i Wegscheid są stacjami wypoczynku dla pielgrzymów, ciągnących na wiosnę i w jesieni z południowo-wschodnich prowincji państwa Austryackiego do Mariazell. Wtedy to roi się cała droga od pielgrzymów. Ciągną oni w procesjach ze śpiewem i chorągwiami od stacji do stacji. W każdej stacji zaś wychodzi naprzeciw nim z chorągwiami i przy odgłosie wszystkich dzwonów bractwo kościelne i wprowadza ich uroczyście do kościoła, gdzie się na ich intencję odprawia solenne nabożeństwo.

Między górami Pyhrn a W. Priel.

Wróćmy się do Bruck a. d. Mur i jedźmy koleją w kierunku ku Aussee. Przybywszy do stacji Liezen wysiadamy, aby zwiedzić owe romantyczne doliny alpejskie, które opodal od kolei leżą między górami Pyhrn a Wielki Priel. W tym celu wsiadamy zaraz na dworcu do czekającego tamże dyliżansu, mającego nas przewieść przez Pyhrn. Po jeździe półgodzinnej przez okolice, przybierające charakter coraz więcej górzysty, przybywamy do stóp góry Pyhrn.

Ponieważ droga jest wygodna, a pogoda i piękna okolica zachęcają do przechadzki, przeto wysiadamy — byłem w towarzystwie młodego małżeństwa z Wiednia i jakiegoś kupca z Niemiec — i idziemy pieszo na przełęcz wiedząc, że tym sposobem dostaniemy się tam prędzej, niż ciężkim wozem pocztowym. Droga prowadzi przez stary las modrzewiowo-świerkowy. Idziemy więc w przyjemnym chłodzie, przypatrując się swobodnie i ukształtowaniu terenu, i pokrywającemu go wspaniałemu lasowi, i wodospadowi, który w połowie lasu napotykamy, i śladom owej drogi, którą, jak nam opowiadano, niegdyś Rzymianie budowali i którą legiony ich przechodziły.

Po półtora godzinnej mniej więcej przechadzce, uprzyjemnianej wesołą pogadanką, wychodzimy na przełęcz, leżącą w wysokości 945 metrów i wypoczywamy tamże, czekając na wóz pocztowy. Takowy przybywa po chwili. Wsiadamy doń więc napowrót i zjeżdżamy na dół. Jazda idzie teraz pomimo podwójnych hamulców bardzo szybko, gdyż droga, budowana jeszcze sposobem dawniejszym, nie schodzi łagodnemi serpetynami ku dołowi, lecz spada całkiem stromo. Pędzimy więc na złamanie karku. Pomimo to nie czujemy najmniejszej obawy, widząc, że konie są silne, uprząż jest dobra, a woźnica zręczny i pewny siebie. Toczymy się więc ochoczo na dół i przybywamy po godzinie do Spital a. Pyhrn.

Nazwa ta pochodzi stąd, że w 17 stuleciu biskup Otto II., jeśli się nie mylę, wybudował w tem miejscu olbrzymi szpital, czyli przytulisko d'a pielgrzymów, ciągnących do ziemi świętej. W 18 stuleciu zaś wzniesiono obok tego szpitala wielki kościół w stylu renesansowym. Kościół ten zwraca wspaniałą facjatą swoją już z daleka naszą uwagę na siebie. Wewnątrz posiada on piękne freski, pędzla znakomitego niegdyś malarza Altomonte, tudzież okazały ołtarz z marmuru kararyjskiago, oraz pięknie rzeźbioną ambonę i posadzkę z płyt marmurowych.

Szpital a. Pyhrn jest dla miłośników idyli miejscowością niezrównaną. Już zaraz ta jedna okoliczność jest wielce cenną, że tam prawie nie ma kurzu. Klimat bowiem jest podalpejski, równie jak i charakter wegetacji. Skutkiem tego posiada powietrze tameczne nawet w czasie upałów letnich tyle wilgoci, ile potrzeba, aby uniemożliwić tworzenie się kurzu. Powtóre okolica Spitala a Pyhrn nęci i przywiązuje do siebie potęgą swych wdzięków, których jej nadaje przyroda tameczna. Z licznych wycieczek zaś, które ztamtąd z łatwością robić można, wymienię tylko wycieczkę na tak zwaną Hofalpe, która jest własnością funduszu kościelnego i na Pyrgas, górę 2244 metrów wysoką.

Z przechadzek w pobliże należy do najprzyjemniejszych przechadzka wzdłuż potoka Trattenbach do t. zw. Griesau. Idziemy tam wąwozem, posiadającym tyle uroku, że go można zaliczyć do najpiękniejszych. Droga prowadzi wzdłuż rzeczonego potoka, spadającego z gór wysokich. Toczy on swe fale, czyste jak kryształ, w łożu skalistem. W wielu miejscach napotykają te fale na głazy, leżące wśród koryta. Uderzają więc o nie z impetem i rozbijają się w pył srebrzysty. Nad tym pyłem, jeśli go słońce promieniami swymi oświeca, wznoszą się tęcze prześliczne. Brzegi koryta ozdobiła natura kwiatami, krzewami i drzewami. W niektórych miejscach spuszczają drzewa swe gałęzie na kształt festonów aż do zwierciadła wody, która się z niemi pieści, całując je nieustannie.

(Dokończenie nastąpi.)